

Anna Rudnicka-Litwinek: Iskra Pruszkowskiego, czyli roboty publiczne dla sztuki

Pruszkowski miał nieustannie uruchomiony wewnętrzny iskrownik, którym zapalał co rusz nowe eskadry odlatujących spod jego skrzydeł uczniów i uczennic. Był na tyle blisko, że znał ich mocne i słabe strony, pozwalał traktować się niemal jak ojca, którego autorytetu nie podważało nawet dosadne nadane mu przez młodzież przezwisko: Grubas – pisze Anna Rudnicka-Litwinek w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Łukaszowcy. Malarze pamięci”.

Zaledwie tydzień temu profesor malarstwa Tadeusz Pruszkowski sprowadził dla siebie wymarzony dwumiejscowy De Havilland Gipsy Moth. Srebrny dwupłatowiec o czerwonych kołach, rocznik 1929, prosto z linii produkcyjnej brytyjskiej wytwórni lotniczej. Egzamin uprawniający do samodzielnych lotów zdał tego samego lata roku 1929, z trudem i dużą dozą szczęścia, entuzjazmu i wiary w siebie. Zakupił wymarzony samolot i bez lęku, za to z głębokim przekonaniem, że doświadczenie uczyni z niego mistrza powietrza, udawał się w podniebne trasy przy każdej sposobności. Letniego sierpniowego dnia szykował się do odlotu z wojskowego lotniska w Dęblinie z zamiarem lądowania na dogodnej piaszczystej łasze u brzegów Kazimierza Dolnego nad Wisłą. U celu podróży czekali studenci i studentki warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych (dopiero za kilka lat

przekształconej w akademię) spędzający letni plener malarski w tym barwnym miasteczku. Przetawił przełącznik iskrownika, tak by wywołać zapłon.

– Kontakt! – krzyknął Pruszkowski i szarpnął drewnianą łopatę śmigła. 60-konny silnik D.H. Gipsy silnik zaskoczył. Po chwili wyrównał dźwięk, warkotliwie pracował i czekał, aż pilot wdrapie się po skrzydle do kabiny. Podmuch wiatru wywołanego obrotami śmigła przygiął okoliczne trawy, poderwał koniec grubego szalika Tadeusza. Krótka trasa, w dole wąwozy i lasy zielonej Lubelszczyzny. Brawurowy przelot nad rynkiem miasteczka i podejście do lądowania na niezbyt przyjaznym piachu przeznaczonym raczej do plażowania, niż przyziemiania kołami samolotu, zakończyło się pierwszą z kilku kraks Pruszkowskiego i przewrotką na plecy zwaną kapotażem.

Przeczytaj również: Autoportret Rzeczypospolitej, czyli zaproszenie do rozmowy

Ani ta przygoda, nie kolejne nieprzewidziane lądowania i awarie nie zniechęciły Prusza do latania, podobnie jak nic nie było w stanie odwieść energicznego i żywiołowego profesora od jego innych życiowych pasji, z których największą było kreowanie artystycznego fermentu w środowisku ludzi sztuki tworzących w niezapomnianym okresie dwudziestolecia międzywojennego.

W 1929 roku Tadeusz Pruszkowski był 41-letnim uznanym artystą malarzem, profesorem Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie, reżyserem westernu-groteski „Szczęśliwy wisielec czyli Kalifornia w Polsce”,

kręconego w Kazimierzu w oparciu o scenariusz stworzony wspólnie ze studentami i przy ich aktorskim udziale, wyświetlany przez pewien czas w warszawskim kinie.

Współczesnych zdumiewała jego społecznikowska pasja, temperament działacza, żyłka animatora sceny artystycznej, a nade wszystko bezgraniczna otwartość i życzliwość dla młodych, poszukujących swej artystycznej drogi i zmagających się z przeciwnościami losu twórców. Pruszkowski miał charyzmatyczną moc przyciągania do swej pracowni studentów bez narzucania im własnej wizji artystycznej i rygorystycznego wpajania akademickich kanonów.[1]

Pruszkowski miał nieustannie uruchomiony wewnętrzny iskrownik, którym zapalał co rusz nowe eskadry odlatujących spod jego skrzydeł uczniów i uczennic. Był na tyle blisko, że znał ich mocne i słabe strony, pozwalał traktować się niemal jak ojca, którego autorytetu nie podważało nawet dosadne nadane mu przez młodzież przezwisko – Grubas. Był ich mocarnym atlasem podtrzymującym firmament dopóki sami nie udźwigną niepewnego losu artysty. Drzwi miał zawsze otwarte, czy to mieszkań i pracowni w Warszawie, czy domu w Kazimierzu.

Co wieczór zebranie u Grubasa. Siedzieliśmy tak w profesorskim domu, z początku w izbie ubranej kłosami zboża, w chusty i zapaski wyblakłe od słońca, w mgiełki biedermeierowskich firanek... [2]

Wspomina Irena Lorentowicz, jedna ze studentek malarstwa. Od świtu dnia poświęcone sztuce, a wieczory na wspólne rozmowy, śpiewy i plany. Pruszkowski opowiadał o swoich ulubionych malarzach: Velázquezie i Halsie. Mówił o wspaniałych mistrzach, których prace mają w sobie jednocześnie błysk radości życia i cień zadumy, o nadawaniu dziełu własnego charakteru, rozpoznawalnego poprzez osobę autora i jego talent. „Kiedy to mówił, rubaszna twarz Prusza zamieniała się nie do poznania – nabierała dziwnego blasku i stawała się niemal piękna.”[3] zapamiętał inny uczeń Tadeusza, Jan Zamoyski. Zamoyski wspomina także zadawane sobie z lękiem pytania.

Czy mamy pójść w rozsypkę? Czy też należy dążyć, aby zadziergnięte węzły koleżeńskie zacieśnić jeszcze silniej i pójść w życie razem, wspomagając się nawzajem? Za drugą możliwością opowiedzieli się wszyscy.[4]

Za drugą możliwości opowiadał się przede wszystkim Tadeusz, pamiętający od czasu swych doświadczeń z młodości, jak bliskie grono artystów zapewniało sobie wzajemnie opiekę przed zaborcą, codzienne wsparcie na emigracji z dala od ojczyzny, podsyłało pieniądze, zamówienia na dzieła, adres dachu nad głową. Cóż więcej, poza technikami starannej pracy, bogactwem inspiracji mistrzami z przeszłości, odwagą do szukania własnej drogi, mógł przekazać swoim uczniom? Trzymajcie się razem, powtarzał zawsze. W taki oto sposób Pruszkowski, widząc naturalnie budowane więzi między swoimi uczniami namawiał ich do utrwalenia przyjaźni w postaci więzów oficjalnie stworzonej grupy, artystycznej rodziny – oparcia dla samotności twórczej.

Tak oto 4 lata przed lotem z Dęblińska do Kazimierza, z inicjatywy Tadeusza powstało Bractwo św. Łukasza, którego prezesem został Jan Zamojski. Oprócz Zamojskiego do ugrupowania przystąpili: Bolesław Cybis, Bernard Frydrysiak, Jan Gotard, Aleksander Jędrzejewski, Eliasz Kanarek, Edward Kokoszko, Jeremi Kubicki, Antoni Michalak, Stefan Płużański, Janusz Podoski, Mieczysław Schulz, Czesław Wdowiszewski, Jan Wydra. Tego samego 1929 roku powstała Szkoła Warszawska złożona ze koleżanek i kolegów w alfabetycznym porządku: Eugeniusz Arct, Włodzimierz Bartoszewicz, Leokadia Bielska-Tworkowska, Michał Bylina, Henryk Jerzy Jaworski, Władysław Koch, Antoni Łyżwański, Wacław Palessa, Jadwiga Przeradzka-Jędrzejewska, Aleksander Rak, Teresa Roszkowska, Efraim i Menasze Seidenbeutel, Wacław Ujejski. Jakby w przeciwwadze dla bractwa złożonego z samych mężczyzn trzy malarki z pracowni Pruszkowskiego utworzyły Grupę Kolor. Były to Elżbieta Hirszberżanka, Gizela Hufnaglówna (w przyszłości Klimaszewska-Arct) i Mary Litauer-Schneiderowa. W kilka lat później zawiązały się Loża Wolnomalarska (Bronisław Gniazdowski, Józef Korolkiewicz, Antoni Kudła, Bronisław Linke, Irena Lorentowicz, Edward Manteuffel, Leonia Nadelman-Janecka, Jadwiga Simon-Pietkiewicz, Mieczysław Szymański, Feliks Topolski, Franciszka Weinles-Themerson, Kazimierz Zielenkiewicz, Aleksander Żyw) oraz Grupa Czwarta (Bolesław Baake, Jan Betley, Janina Herget, Jerzy Jełowicki, Helena Okołowicz, Hanna Pachniewska, Zofia Poreyko, Marta Podoska-Koch, Aleksander Sołtan, Helena Sołtan, Irena Wilczyńska, Władysław Wincze).

„To chyba jedyny, jedyny profesor, który w ten jednakże sposób scalił, proszę pana, grupy ludzi. Nikt w Akademii tego nie robił.”[5]
potwierdza w wywiadzie znana scenografka i malarka Teresa Roszkowska.

Przeczytaj również: Bractwo św. Łukasza. Przyczyny nieobecności

Liczone w dziesiątkach nazwiska artystek i artystów migoczą w artystycznych konstelacjach. Prus nie byłby zadowolony gdybyśmy pominęli którekolwiek na rzecz uproszczenia tekstu, nie dlatego angażował się w każdego ze swoich uczniów, by pamięć o nich przepadła, choć to właśnie stało się udziałem samego mistrza. Niewiele osób poza środowiskiem związanym ze sztuką pamięta tego „nauczyciela szczęścia”[6], jak nazwała swojego przyjaciela z kazimierskiego podwórka pisarka Maria Kuncewiczowa. Minęło ponad 80 lat odkąd zginął z rąk gestapowców w nocy z 30 czerwca na 1 lipca 1942 roku. Pozostało niewiele jego obrazów, bo też i nie poświęcał własnej pracy twórczej tyle, co inni ówczesnie znani artyści. Dzielił swój czas na wiele pasji, przy tym najwięcej z własnego dnia przekazując młodzieży. I to właśnie oni swoim życiem, dziełami i wspomnieniami przechowali ducha swojego mistrza. Z wielu myśli utrwalonych przez niego samego w nielicznych publikacjach o sztuce (w tym także sztuce życia i sztuce radości z życia) Pruszkowski podkreśla przede wszystkim wagę ciężkiej pracy i współpracy. Na co jeszcze zwraca uwagę? Talent to zaledwie początek. Strzeżcie się uwiedzenia przez romantyzm mitu artysty natchnionego talentem, któremu należy się uznanie z samego faktu posiadania talentu. Natchnienie decydujące o powstaniu wielkiego dzieła to mit. Nie trać czasu na siedzenie przy czarnej kawie, czy kieliszku wódki. Idź do pracy. Trwaj w pracy. Ciesz się pracą. Praca to jest twoje natchnienie. Nie bój się pracy na zlecenie, nie jest w niczym gorsza od pracy dla siebie. Wskazówki Prusza wyniosły wielu z jego uczniów do rangi uznanych twórców. On sam ułatwiał kontakty, doradzał, wciąż miał dla byłych i obecnych studentów całego siebie i swój czas. I nieustannie namawiał do współpracy, łączenia się w grupy wsparcia, poszerzenia działań i

wychodzenia poza kręgi sztuki. Podzielał pasje z uczniami, podpatrywał, współtworzył. Każdą aktywność związaną ze sztuką, lotnictwem, społecznymi działaniami łączył, wierny swojej ułańskiej legionowej przeszłości i doświadczeniom walki z zaborcą z czasów przed odzyskaniem niepodległości, z umacnianiem idei „polskiej szkoły malarstwa”. Rozumiał przez to nie opracowaną odgórnie państwową doktrynę, lecz poszukiwanie nowej polskiej tożsamości, odwołującej się do tradycji w równym stopniu, co współczesnemu wyzwaniu stworzenia nowej, niedawno odzyskanej Polski w jej świeżych granicach, posklejanej z ziem różnych zaborów, z grup społecznych wciąż przesiąkniętych wpływem różnych kultur. Sztuka miała zadziałać jak spoiwo dla społeczeństwa podzielonego poglądami politycznymi i nalotem wieloletniej rusyfikacji czy germanizacji.

Wierzę, że Polska nabrałaby zaufania do samej siebie, gdyby się przyodziała w sztukę. Ale to się stać nie może bez wprowadzenia „robót publicznych dla sztuki”. My artyści jesteśmy bezsilni, możemy tylko krzyczeć, perswadować, molestować.[7]

Parafrazując swobodnie myśl Tadeusza Pruszkowskiego i wywołując tym samym jego osobę z przeszłości, by dało się usłyszeć głos „profesora od szczęścia” współcześnie, można zawołać: my artyści jesteśmy silni, ponieważ możemy krzyczeć o upublicznienie sztuki i przyodzianie w nią Polski.

Anna Rudnicka-Litwinek

Biografia Tadeusza Pruszkowskiego zostanie wydana w przyszłym roku nakładem wydawnictwa Marginesy.

**Wszystkie artykuły w „Teologii Politycznej Co Tydzień” [503]:
„Łukaszowcy. Malarze pamięci”.**

Przypisy:

[1] Irena Kossowska, *Artystyczna rekonkwista. Sztuka w międzywojennej Polsce i Europie*, Toruń 2017, s. 369-370

[2] Irena Lorentowicz, *Oczarowania*, Warszawa 1975, s. 54

[3] Jan Zamoyski, *Łukaszowcy*, Warszawa 1989, s. 20

[4] Tamże.

[5] Maciej Nowak, maszynopis wywiadu z Teresą Roszkowską, (nieredagowany), czerwiec-sierpień 1989, s. 30

[6] Maria Kuncewiczowa, *Tadeusz Pruszkowski*, „Nowa Polska” (Londyn), 1942, z. 6, s. 523

[7] Tadeusz Pruszkowski, *Niewyzyskane siły plastyczne*, „Gazeta Polska” 24 maja 1936, s. 5

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
